



Ewa Szykulska dla „Wyborczej”

GŁOS ZNAKIEM FIRMOWYM

– Kazali mi iść do foniatry i przynieść
zaświadczenie – co z moim głosem?
W związku z chrypą. A ja wtedy nie jarałam.

ROZMOWA Z
EWA SZYKULSKA
aktorką

JACEK SZCZERBA: Jak pani trafiła do filmu?

EWA SZYKULSKA: Chodziłam do liceum na Dolnej. Przedłużenie Dolnej stanowi Chelmska, gdzie jest Wytwórnia Filmowa. Asystenci reżyserów wpadali do naszej szkoły po statystów albo po młodych ludzi do epizodów. Nie byłam obrażona, że mnie wyciągnęli z matematyki. Dziwiłam się tylko, dlaczego ja, wypłosz, jadę wspólnie z młodszą koleżanką z innej klasy, wspaniałą długowłosą blondynką.

Najpierw została pani koleżanką głównego bohatera w filmie Jerzego Hoffmana „Ojciec” (1967).

– W napisach końcowych nawet nie było mojego nazwiska. Miałam jednak szczęście do ludzi. Następny był Stanisław Kokesz z filmem o duecie fortepianowym „Marek i Wacek”. Marka i Wacka miło spotykałam potem w Paryżu i w Pradze, na ulicy, w kawiarience. Jeździłam za granicę, grając w teatrze Józka Szajny. Nie mieliśmy zachodnich pieniędzy, ale nie głodowaliśmy.

Mój pierwszy chłopak, utalentowany reżyser telewizyjny pracujący w Finlandii – Zdzisław Hoffmann – koło 2000 roku zaczął chodzić w Polsce w czerwonych krawatach. Mówił: „Lubię ten kolor. I nagle mogę, bo to nie ma już żadnego kontekstu”.

Miała pani w rodzinie jakichś artystów?

– Niektórzy chcieli być artystami: brat mojego ojca uczył się śpiewu, przeszkodziła mu choroba płuc. Mama w drugiej połowie życia pisała pamiętnik. Moja młodsza siostra skończyła warszawską ASP. Zajmowała się konserwacją zabytków. Pracowała w Austrii, głównie w obiektach sakralnych. Mieszkała w Alpach, w Karyntii, liczyłam na to, że górskie powietrze osłabi działanie chemicznych odczynników. Niestety, siostra zmarła na raka płuc.

A mnie po tych pierwszych filmach pochrzało się w głowie. Pomyślałam: „Dlaczego nie aktorstwo? To jest nawet zabawne”.

Zdała pani do warszawskiej PWST.

– Na egzaminach wstępnych mówiłam monolog Marii z „Komu bije dzwon” Hemingwaya. Zdawaliśmy w auli na parterze. Bezczelni chłopcy stali pod oknami, jeden na drugim, i podglądali. Zapomniałam tekstu, zaczęłam się miotać, ale wtedy któryś z chłopaków spadł na pysk i zrobiło się zamieszanie.

Pomógł mi profesor Marian Wyrzykowski. Jego żoną była Elżbieta Barszczewska. Mówiono, że moja mama jest do niej podobna. Może trochę. Wyrzykowski przyjaźnił mnie dopytywał, choć był człowiekiem raczej zamkniętym. Zaczęłam bredzić własnymi słowami. Mówiłam też „Ryfkę” Broniewskiego. Najgorzej poszło mi z piosenką. Nigdy nie śpiewałam. Ponieważ była bieda, babcia sprzedawała pianino.

Na adapterze Bambino puszczałam sobie płytę „Publiczki”. Słuchając, jak śpiewa je Baśka Rylska, sama się nauczyłam. Okazało się, że koleżanka przede mną śpiewała to samo. Falszowała jeszcze gorzej niż ja. Dostałyśmy się obie.

Jak było w szkole?

– Kazali mi iść do foniatry i przynieść zaświadczenie – co z moim głosem? W związku z chrypą. A ja wtedy nie jarałam. Ludwik Sempoliński pocieszał mnie: „Nic się nie martw. Musisz tylko: kogel-mogel, kogel-mogel”. Foniatra powiedział, że jest w porządku, że mam trochę szersze i grubsze struny głosowe, niż zwykle mają dziewczynki. Kopa w sprawie głosu dał mi dopiero Andrzej Kondratiuk, mówiąc, że jest fantastyczny. W ten sposób od wstydu z powodu głosu doszłam do głosu jako mojego znaku firmowego.

Aleksander Bardini uczył nas przekory i samodzielności. Przez rok napisaliśmy scenariusz dyplomu muzycznego – „Ćwiczeń z Szekspira”. Tylko ja i Jurek Bończak na nim nie śpiewaliśmy. Zrobiliśmy scenę z „Ryszarda III”. Lekcje śpiewu u Sempolińskiego spędzałam w sraczyku. Mimo to miałam z nich piątkę. Zaśpiewałam dopiero ileś lat później. Przyszedł Bardini i powiedział: „Niewykluczone, że się pomyliłem co do ciebie”. To jeden z ważniejszych komentarzy, jakie w życiu usłyszałam. A ja źle przyjmuję wszelakie komplementy.

Kto spośród studentów robił wtedy na pani wrażenie?

– Fascynowała mnie Gośćką Braunek, bo była taka osobna. Zakryta włosami. Inna niż my. Z młodszych Jadźka Jankowska-Cieślak. Przyszła na egzamin, usiadła w hallu. Usiadłam naprzeciwko niej i się na nią gapiłam. Przyciągała wzrok. Dziś też przyciąga.

Na moim roku bardzo utalentowany był Jurek Bogajewicz.

Jak pani trafiła do węgierskiego filmu Istvána Gaála „Zjazd rodzinny” (1968)?

– Dostałam się do Szkoły Teatralnej i wyjechałam na wakacje w Bory Tucholskie. Tam przyszedł telegram, że jest propozycja od Węgrów. Nie wiem, gdzie mnie wypatrzyli.

Akcja filmu działa się podczas chrzcin. Byłam panną młodą, matką dziecięcia. István Gaál wydawał się przeźroczysty, niewidoczny, ale jednak konkretny. Wielkich wymagań nie było. Wszystko odbywało się przyjaźnie, w otoczeniu najlepszych aktorów węgierskich – znakomita była zwłaszcza Eva Ruttkai.

Grałam z Barbarą Ludwizanką. Naszą tłumaczką, dzięki której komunikowałyśmy się z Węgrami, była żona Romka Wilhelmiego. Mama poprosiła Ludwizankę, żebyśmy spały w jednym pokoju, bo jestem wariatka, mogę zabłądzić. Poszłam na zwiedzanie małego miasteczka, w którym kręciliśmy. Zasiałem się w kościele i mnie w nim zamknęli. Z godzinę waliłam w drzwi, nim przyszedł zakrystian.

Po raz pierwszy u Janusza Kondratiuka zagrała pani w „Jak zdobyć pieniądze, kobietę i sławę” (1969).

Nie byłam obrażona, że mnie wyciągnęli z matematyki. Dziwiłam się tylko, dlaczego ja, wypłosz, jadę wspólnie z młodszą koleżanką z innej klasy, wspaniałą długowłosą blondynką

– Wtedy zaczął się nasz romans, zauroczenie dzikie. Pamiętam drugie spotkanie, w Bristolu: był Janusz, jego mama Kryśka, która w sprawach służbowych przyjechała do Ministerstwa Kultury, i ja. Kryśka, czyli Kopernik. Ode mnie dostała tę ksywę, bo miała grzywkę i proste włosy jak Kopernik na pomniku. Kryśka założyła i prowadziła Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. Po rozmowie w Bristolu Janusz zdecydował się mnie obsadzić.

Waszym najważniejszym wspólnym dokonaniem okazały się „Dziewczyny do więzienia” (1972), w których zagrała pani z dwiema amatorkami: Ewą Pielach i Regina Regulska.

– Nie wchodziłam w rachubę w tym filmie. Skorzystałam z tego, że byłam kobietą Janusza. To było wyplakane, wykrzyżane. Wygrałam pod warunkiem, że założę srebrne nakładki na zęby. Pani dentystka je zrobiła. Po zdjęciach jedna z nakładek wpadła mi do sraczyka. Nie szukałam jej.

U Janusza przesłałam ćwiczenia – jak nie nadużywać aktorstwa. Chciał zrobić ze mnie swoją Galateę, uformować mnie jak Pigmalion. Janusz cenil maestrię niektórych artystów, ale był zafascynowany Himilbachem i Maklakiewiczem. Chodziło mu o to, żeby zaistnieć przed kamerą, a nie zagrać czy się pokazać. Żeby nie było: „Patrzcie na mnie, bo jestem ładniutka i zdolniutka”.

Dlaczego uparła się pani na rolę w „Dziewczynach do więzienia”?

– Głupota, może intuicja. Janusz mi pomógł, gdy już nie miał wyboru. To taki film o próbie wejścia dziewczyn z prowincji na portal randkowy zarezerwowany dla ludzi z dużego miasta. W trakcie zdjęć do „Dziewczyn...” na schodach na Dworcu Warszawa-Śródmieście jakiś facet złapał mnie za tyłek. Byłam w paletku z kołnierzem tygrysim, więc przez ten płaszczyk mnie złapał.

Do dziś utrzymuję kontakt z dziewczynami, z którymi grałam. Są fantastyczne. Nauczyły mnie, żeby słuchać drugiego, żeby być uważnym. Nauczyły, jak okradać innych z emocji, skupiając emocje widza na sobie. Pućka, czyli Ewa, ta większa, powiedziała mi kiedyś w studio telewizyjnym:

„A pamiętasz, jak na zdjęciach dostałaś w pysk od Janusza?”. Dopiero wtedy sobie przypomniałam. Wcześniej to wyparłam.

Dlaczego Janusz panią spoliczkował?

– Bo się nabzdyczyłam. Stroiłam fochy. To była scena w toalecie, gdy mówiłyśmy o sobie: „Jestem piękna, a ja mam takie oczy, ja też jestem niebrzydka”. Ten plask w twarz okazał się twórczy, choć to brzmi okrutnie.

Wybrnęłam z tego. Zagrałam dobrze. Krytyk Aleksander Jackiewicz, który później wystąpił ze mną i z Jurkiem Bogajewiczem w „Psie” (1973) Janusza, mówił o „Dziewczynach...” w Łagowie. Stałam na scenie w spódnicy lekko zakrywającej majtki, bo taka była moda. „A pani to kto?” – zapytał Janusza Jackiewicz. „Jedna z aktorek”. „Naprawdę? To gratuluje. Niezwykła metamorfoza”.

O swej skomplikowanej relacji ze starszym bratem Andrzejem Janusz Kondratiuk nakręcił film „Jak pies z kotem” (2018). Jak pani odbierała ich razem?

– Jeden dałby się pokroić za drugiego. A jednocześnie trwała próba wymuszenia przywództwa. Andrzej bywał łagodniejszy. Janusz raczej choleryk. Gdy Janusz na planie asystował Andrzejowi, świetnie się porozumiewali.

Byłam przez nich traktowana przyjaźnie. Rok po tym, jak związałam się z Januszem, obok Andrzeja pojawiła się Iga Cembrzyńska. I na szczęście została już do końca. Ja z Januszem wytrzymałam tylko siedem lat. Myśmy koczowali razem. Wynajmowaliśmy chałupę nad Zalewem Zegrzyńskim. Chłopcy siedzieli tam i pisali, od wiosny do jesieni. Motorówka była często w użyciu. My dojeżdżałyśmy do pracy – do teatru, do filmu. Oni łowili ryby, piło się wódkę. Różni ludzie przyjeżdżali gromadnie.

Obaj chłopcy byli ubóstwiani i rozpuszczani przez rodziców. Tego im zazdrościłam. Mnie nikt nie mówił, że jestem genialna. U nich wszystko było nawet na wyrost. Bracia twierdzili, że to lekceważą, ale chyba nie do końca szczerze.

Od monumentalnej „Gwiazdy zwodniczego szczęścia” (1975) Władimira Motyla o powstaniu dekabrystów rozpoczęła się pani kariera w kinie rosyjskim. Dlaczego Motyl sięgnął po polską aktorkę?

– Motyl chciał, żeby zagrała u niego Francuzka. To miała być Dominique Sanda. Ale pojawiły się komplikacje z francuskimi związkami zawodowymi. Podczas przygotowań do filmu, z ekspedycji na Syberię córka Motyla, która zajmowała się kostiumami, przywiozła pismo „Ekran”. Byłam na jego okładce. Ona dziergała na drutach, spodobał jej się sweterek, który miałam na zdjęciu.

Z tym „Ekranem” Motyl przyjechał do Polski. W Zespołach Filmowych powiedzieli mu: „Szykulska to szczaw, nic jeszcze nie zrobiła”. Motyl zjawił się w Łodzi, przyglądał się zdjęciom próbnym do „Ziemi obiecanej” Andrzeja Wajdy. Próbowaliśmy tam – ha! ha! ha! – Zuckerową, którą zajebicie, jak mówią młodzi, zagrała potem Kalina Jędrusik. Motyl zaprosił mnie na swoje zdjęcia próbne do zimowego Leningradu. Operator Dmitrij Mieschiew, genialny Gruzin, przekonywał go: „Bierz ją od razu”. „Dlaczego?”. „A nie może u nas zagrać taka wspaniała baba?”. Przeszłam jednak zdjęcia próbne i zostałam zaakceptowana.

„Gwiazda zwodniczego szczęścia” skupia się na sześciu osobach: trzech mężczyznach i ich kobietach. Znany aktor, z którym graliśmy, po miesiącu skomplikowanych zdjęć został wyrzucony z filmu. Ale i tak byłam zafascynowana Rosją: te przestrzenie – Syberia, Bajkał, ta architektura. Ci ludzie – jeżeli balladę pisze tylko dla ciebie Bułat Okudźawa, jeśli na obiedzie u reżysera spotkasz elitę intelektualno-artystyczną tego kraju, to można się zadurzyć. W wytwórni leningradzkiej George Cukor kręcił akurat „Błękitnego ptaka”, z Avą Gardner, z Elizabeth Taylor i z Jane Fondą. Marzyliśmy, żeby popodglądać, jak grają, jak się zachowują

wują wielkie gwiazdy. Niestety, do dziś jest to dla mnie tajemnicą. Rosję tłumaczyli mi także przyjaciele Ilii Awerbacha, z którym zrobiłam „Wyznanie miłości” (1978). Lepiej nie mogłam trafić. W Polsce nazywano go rosyjskim Bergmanem.

„Gwiazda zwodniczego szczęścia” i „Wyznanie miłości” oglądane dzisiaj wciąż robią wrażenie, ale są, zwłaszcza ten pierwszy, nieco rozwlekłe.

– Wtedy czułam, że „Gwiazda...” jest filmem tak nowoczesnym, że ludzie jej nie zrozumieją. Rosjanie mają to we krwi, że długo znaczy dobrze. Janusz usnął w teatrze w Leningradzie na którymś „Henryku” Szekspira. Dosłownie zleciał z fotela. Trzeba jednak wziąć poprawkę, że byliśmy zmęczeni po podróży.

W serialu „Mój agent” jest pani teraz Mirą Kornacką – jedną z czwórki bohaterów pracujących w agencji aktorskiej. Pani serialowy pies nazywa się Łom, na cześć Tadeusza Łomnickiego. Pani grała z Łomnickim. Proszę powiedzieć, na czym polegała wielkość jego aktorstwa.

– Na jego rozkosznym egoizmie. Na rodzaju bezwstydu: „Wszystko, co zrobię, jest do zaakceptowania. No, zagraj lepiej, kolego”. Dokonywał wiwisekcji samego siebie. Role miał znakomicie skonstruowane: ich rysunek dramaturgiczny i przebieg energetycz-

■
Cieszę się, że mogę żyć w dwóch różnych epokach. W każdej z nich próbowałam rozpościerać mikre skrzydła i uczyłam się czułgać po ziemi

ny. Grał na emocjach, bebeczami, i jednocześnie je kontrolował.

Przy tym potrafił być dobrym człowiekiem. Z Anką Seniuk i Jolką Lothe grałyśmy epizody w „Potopie” Jerzego Hoffmana. Zdjęcia odbywały się w Ukrainie. Czekałiśmy, aż spadnie śnieg. Wieczorami przysyłano butelki szampana. Działał sławetny „wujaszek bania”. Potem wracałyśmy z Jolką Lothe sleepingiem do Warszawy. W trakcie jazdy konduktor kazał nam wypieprzać z pociągu, że niby nasze bilety są nie w porządku. Przypomniałam sobie, że w pierwszej klasie jedzie też Tadzio. Z wielkim trudem, bo konduktor nie chciał mnie przepuścić, przedarłam się do niego. Tadzio, obudzony, w podkoszulku na ramiączkach i w kapeluszu na głowie, biegł ze mną przez wagony w drugą stronę. Konduktorowi nakrzyczał: „Wy wiecie, kim ja jestem?! Jestem członkiem KC partii”. Konduktor się przestraszył i dał nam inne miejsca. Co prawda w wagonie, gdzie strasznie pachniało, bo jechali nim młodzi, trądzikowaci chłopcy z NRD-owa. No tak, ja też pachnę gorzko i słodko przeszłością. Cieszę się, że mogę żyć w dwóch różnych epokach. W każdej z nich próbowałam rozpościerać mikre skrzydła i uczyłam się czułgać po ziemi. ●

***Ewa Szykulska**

• (rocznik 1949), aktorka, absolwentka warszawskiej PWST (1971), m.in. Karen Petersen w „Samochoziku i templariuszach” (1971) Huberta Drapelli, panna Jola w „Hydrozagadce” (1970) Andrzeja Kondratiuka, hrabina Koniecpolska w „Kariere Nikodema Dyzmy” (1980) Jana Rybkowskiego i Marka Nowickiego, Marta Rychlińska w dwóch częściach „Vabanku” (1981 i 84) Juliusza Machulskiego. Duże role w filmach rosyjskich oraz enerdowskich. Helena Bogacka w serialach „Lokatorzy” (1999-2005) i „Sąsiedzi” (2003-08), Helena w „Leśniczówce” (2019-23) i Mira Kornacka w „Moim agencji” (2022-23). W Teatrze Studio m.in. Magdalena w „Dantem” (1974) Józefa Szajny, Ksantypa w „Obronie Ksantypy” (1987) w Teatrze Rozmaitości, Anita w „Antygonie w Nowym Jorku” w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu (1995) i w Teatrze im. Węgierki w Białymstoku (2008) oraz Stara w „Krzestach” (2018) w Teatrze Polonia.